№ 13. Warszawa, dnia 15 (27) Marca 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . . **rs. 5**
Rocznie . . . . **rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . **rs. 1 k. 25**
Półrocznie . . . . **rs. 2 k. 50**
Rocznie . . . . . **rs. 5**

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 12, w ciągu roku wydanych zostało 12. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach, widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr **3.**

Ks. D-ra Meric'a uwagi o życiu przyszłem.

PRZEZ

J. T. Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Gdybyśmy mogli bezpośrednio wzrokiem lub jakim doświadczalnym a pewnym sposobem ująć duszę, ożywiającą ciało, łatwo byłoby upewnić się o jej nieobecności lub obecności i tak niewątpliwie przekonać się o końcu życia.

Lecz ani wzrok ani doświadczenie nie mogą ująć tej rzeczywistości, tej tajemniczej potęgi, duszą i życiem nazwanej i do upewnienia się o jej zniknieniu, przychodzimy tylko za pomocą zjawisk fizycznych, których świadectwa nie dają jeszcze dokładnej pewności, jakiej umysł ludzki domagać się ma prawo. Bichat twierdzi np. że człowiek żyje jeszcze kilka dni wewnętrznie wtedy, kiedy zewnętrznie nagle żyć przestał.

Przerwanie zewnętrznych zjawisk życia jest prawie stale niepewnym znakiem rzeczywistości śmierci, o której istotnem nastąpieniu przekonać się tylko można po ustąpieniu fenomenów wewnętrznych.

Thomassin twierdzi, że: jeźli nie ma nic bardziej pewnego, jak konieczność śmierci, nic też nie ma mniej pewnego, jak zupełne zgaśnięcie pierwiastku życia.

Sztuka odróżnienia żyjących od umarłych ma jeszcze swoje wątpliwości. Dyagnostyka śmierci bywa w wielu przypadkach niepewną i pomimo orzeczeń niektórych znakomitych uczonych, jesteśmy narażeni na zagrzebanie wprzód, zanim żyć przestaniemy.

To zdanie Thomassina potwierdza mnóstwo faktów przedwczesnego zagrzebania. Brukier, w dziele swojem, wydanem już w r. 1740, a obfitem w ścisłe szczegóły, podaje 180 wypadków, pomiędzy któremi wymienia 52 osoby, pogrzebane żywcem, 52 wrócone do życia po zamknięciu trumny, 75 uważane za umarłe, gdy takiemi nie były i po-

wstałe z snu letargicznego, nakoniec 4 egzenterowane przed śmiercią przez chirurga.

Uczeni starali się określić cechy, które przed rozkładem byłyby pewnym znakiem śmierci, lecz usiłowania ich nie wydały obiecanych rezultatów, bo zagadnienie to oczekuje dotąd niezawodzącego rozwiązania.

Ustanie oddechu, sprawdzone bezpośrednio przez zmysły lub pośrednio za pomocą zwierciadła, nie jest pewną oznaką końca życia czyli ustąpienia duszy, albowiem dowiedziono, że oddychanie może się zatrzymać, a mimo to życie jeszcze nie ustaje.

Bouchat i Recamier nazwali: ustanie bicia serca, jednoczesne obezwładnienie wszystkich zwieraczy (*sphinteres*), spowodowane paraliżem mięśni, opadnięcie gałki ocznej i zniknięcie przezroczystości rogówki, pewnemi wskazówkami śmierci; lecz Stevenson sprawdził, że przy ciężkich ranach serca może ustać jego bicie, a mimo to nie uchodzi życie.

I inne przez Bouchuta podane wskazówki zachodzą w wypadkach śmierci pozornych.

Collongue mniema, że po śmierci, w jakikolwiek ona sposób nastąpiła, bywa pewien szmer, który, powoli słabnąc do zupełnego zgaśnięcia, trwa od sześciu do dziesięciu godzin. Można go podsłuchać za pomocą dynamoskopu.

Lecz i ten nowy rodzaj auskultacyi nie daje obiecanych rezultatów, jak dowiódł Frédault.

Blizko 1200 osób byłyby tylko w naszem stuleciu żywcem pogrzebane, gdyby temu nie przeszkodził zbieg różnych okoliczności. A ileż legło z pewnością w ziemi, których nie ocalono! Bywają przecież wypadki, że pozornie umarli budzą się dopiero pod cięciami chirurgicznemi, lub w czasie świętokradztw, popełnionych w grobach.

Margrabia d'Ourches ustanowił fundacyę w celu pobudzenia lekarzów do wskazania pewnych znaków śmierci, a choć wyznaczył dużą nagrodę dla szczęśliwca, któryby uczynił zadość warunkom konkursowym, nie podcłał od roku 1868 nikt temu zadaniu.

Nie posiadamy więc dotąd zupełnie naukowych, niezawodzących znaków, któreby nas upewniły o stanowczem rozłączeniu duszy z ciałem, a mielibyśmy wiedzieć co się dzieje z nią, gdy przeszła do świata niewidzialnego?

Różnie różnemi czasy wierzono. Najszerzej panowała wiara w wieczność dusz i metempsychozę nietylko w łonie religii świata starożytnego, ale i między filozofami i poetami.

Pytagoras, Platon, Jamblichus i Plotin nauczali o przechodzeniu dusz w rozmaite ciała. Wierzył w metempsychozę Owidyusz, opiewał podróże duszy Tibul, a Lukrecyusz uważał ją za wieczną, tracącą tylko pamięć życia dawnego przy rzece Lecie.

Chrześciaństwo usunęło te „marzenia". Teologowie naszej ery usiłują tylko dowiedzieć się, czy dusza nasza, wydobyta z nicości, czy też drogą t. zw. emanacyi, czyli wytworzenia pochodzi od duszy pierwszego człowieka, który takim sposobem z wyższego jeszcze tytułu, byłby ojcem rodu ludzkiego.

Niepewność i wahanie się w tej subtelnej kwestyi wyraźnie przebija się w pismach Tertuliana, Originesa i św. Grzegorza Nysseńskiego. Św. Hyeronin jest zwolennikiem pochodzenia dusz; a św. Augustyn, wyraziwszy w wielu swych pismach trudność zagadnienia, zrzeka się jego rozstrzygnięcia.

Nad trojakiem więc głównie, a różniącem się rozwiązaniem trudzili się dawniejsi i nowsi uczeni, wierzący w duszę i jej życie przyszłe. Pierwsi wytworzyli sobie odcień panteizmu, bo utrzymują, że dusza jest wieczną, jak sam Bóg, którego ona jest emanacyą; drudzy wierzą w metempsychozę, trzeci, jak niektórzy teologowie pierwszych wieków Kościoła, skłaniają się do t. zw. przelewania dusz.

W czasach najnowszych, wróciło znów kilku uczonych do pewnego rodzaju metempsychozy, podobnej raczej do poematu filozoficznego, aniżeli do systematu naukowego.

Jeden z tych marzycielów filozoficznych, nieuznających wiary objawionej, a niezadowolonych mimo to beznadziejnością doktryn ateistycznych, mianowicie J. Reynaud, twierdzi, że dusza nasza jest obdarzona zdolnością działania na substancyę eteryczną i nawzajem przyjmowania od niej wrażeń. Na mocy tej nieustannej siły ma dusza w ciągu naszego nieszczęsnego życia skupiać pierwiastki ciała, poruszać nami, naginać członki pod rozkazy naszej woli, a gdy sama ulatuje z jednego siedliska na inne, zrzuca tylko ciało do którego tylko chwilowo była przywiązana i następnie w nowych warunkach swego bytu, przybiera nowe cząsteczki, jakich potrzebuje. Jak rządziła pierwiastkami na ziemi, tak nieustannie rządzi niemi w każdej krainie wszechświata, gdzie się osiedla. Ciało jest dla niej tylko pewnego rodzaju narządem, potrzebnym do wykonywania czynności, przyjmowania uczuć, zawiązywania stosunków, spowodowanych otoczeniem, wśród którego znajduje się, oraz życia, jakie tam ma prowadzić.

Inny marzyciel w tym samym guście, Figurier, opisuje nawet dokładnie przyszłe życie duszy.

Podług niego wychodzimy, jeżeliśmy dobrze żyli z tego świata i wstępujemy do obszernej krainy eteru planetarnego, do delikatnego płynu, co otacza ziemię zamieszkaną. Ciało nasze, powołane do unoszenia się w tych mglistych krainach, staje się lżejszem od eteru i cudownej delikatności nabiera; sprowadzone zaś do warunków cienkiej tkaniny materyalnej, uduchownionej przez życie, staje się przejrzystem okryciem z materyi ożywionej, a człowiek, podniesiony do tego stanu szczęścia, przybiera nazwę istoty nadludzkiej.

Tam mamy być wolnymi od przykrości karmienia ciała i chorób ztąd pochodzących, jako nieuniknionego następstwa. Wyżej wzniesieni i umieszczeni w jasnych krainach eteru planetarnego, będziemy mogli wzmacniać swe siły, utrzymywać życie naszego ciała przez samo oddychanie płynem w którym będziemy zanurzeni, t. j. przez oddychanie eterem.

Uwolnieni od przesądów zbyt ciężkich, marzy dalej Figuier, od tych ognisk chorób, zwanych trawieniem i wytwarzaniem, obdarzeni tylko najprostszym i najobfitszym przyrządem oddychania, wyjęci z pod tyranii głodu, pracy, nieporozumień, które nędza rodzi i które nas dręczą na ziemi, żyć będziemy w wiecznej światłości, oswobodzeni od potrzeby snu, towarzyszącego nocom, albowiem eter planetarny, który będzie naszem mieszkaniem, nie wchodzi do ruchu obrotowego ziemi, nie podlega przeto odmianom dnia i nocy, a takim sposobem jest wiecznie rozjaśniony promiennem światłem słońca.

Wszystkie zmysły nasze będą obdarzone delikatnością i zakresem bez porównania wyższym od tych, jakie na tym świecie podziwiamy w zwierzętach najlepiej uposażonych i nadto posiadać będziemy nowe zmysły oraz własności nieznane, albowiem któż z pośród nas zna prawa, naturę i warunki bytu mieszkańców eteru?

Co się zaś tyczy nieszczęśliwych ludzi, których życie było długim buntem przeciw porządkowi Opatrzności bozkiej, oni nie wcielą się, jak mniemały zawsze ludy Wschodu, w ciała zwierząt, lecz pod strasznem prawem kary, będą odbywały swoje podróże i próby po globach firmamentu. Sprawiedliwi odbywają swą podróż wśród błogich okolic, gdzie radość powszechna wieńczy ich cnotę, winowajcy zaś przechodzą sfery boleści, gdzie udziałem ich jest cierpienie i pokuta, nałożone przez najwyższą sprawiedliwość i t. d.

Czytając takie proroctwa *sui generis*, zdaje się, że słyszy się marzenia beletrysty, a tymczasem mają te przepowiednie być systematem naukowym, postawionym na miejscu religii objawionej.

Majaczenia te uczonych, którzyby pragnęli koniecznie wiarę swoją w życie przyszłe pomalować pokostem naukowya, popierają w pewnym względzie najnowsze zdobycze astronomii.

Wiadomo, że umiejętność ta zrobiła w ostatnich dwóch wiekach ogromne postępy. Uzbrojona w wyborowe narzędzia, rozjaśniona pewniejszą i lepiej kierowaną metodą, dała nam poznać lepiej firmament, jego niezmierność i tajemnice światów, któremi jest napełniony. Zagadnienie, trwożliwie niegdyś poruszane przez umysł człowieka, zaniepokojonego widokiem tych jaśniejących światów, na nowo, w sposób bardziej stanowczy i więcej naukowy narzuca się umysłom naszych czasów.

(Dokończenie nastąpi.)

Piosnka Cyganki.

Szłam przez pole, szłam przez pole,
Czy to czary, czy to traf?
Żem spotkała cię sokole,
Że mnie jasny spotkał graf.

Jechał, jechał z swą jedyną,
Z ukraińską swą grafiną,
Po przez role, po przez pole,
Na dalekie gdzieś Podole,
Jedź mój luby jedź!

Graf zapomniał swej kochanki,
Graf zapomniał swej cyganki,
Moja dola taka czarna,
Moja dola taka marna,
Świeć miesiączku świeć!

Wietrzyk wieje, wieje z lasku,
Kręci tuman w białym piasku,
Wkoło srebrne mgły.

A jak mgły te nad równiną,
Tak za tobą łzy me płyną,
Gorzkie płyną łzy.

Nieszczęśliwa moja dola!
Lecz się stała twoja wola,
Serce skradłeś ty.

Świeć miesiączku świeć!
Leć mój luby leć!

Ciebie sięgnie pomsta Boża,
Zginiesz w stepach jak wśród morza,
Jedź mój luby, jedź!

Maryla Głowacka.

UMARŁA.

PRZEZ

Oktawiusza Feuillet.

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiej.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Dalszy ciąg.)

V.

Wieczorem tego samego dnia, w którym ojciec wyjechał do Paryża, mała Joasia naówczas już śliczna i nadzwyczaj rozgarnięta sześcioletnia dziewczynka, zachorowała na ból gardła, któremu towarzyszyły silne dreszcze i osłabienie. Myślano z początku, że to prosty katar, połączony z lekkiem zapaleniem gruczołów; ale w nocy rozwinęła się gwałtowna gorączka, dziewczynka nie mogła zasnąć i użalała się na wielki ból głowy. Zaraz nadedniem przyzwano z Valmontiers starego doktora Raymond i ten od pierwszej chwili zaniepokoił się bardzo. Nie odstępował chorej dziewczynki. W ciągu dnia ujawniły się już groźne symptomata, które w nocy spotęgowały się jeszcze. Oddech stał się ciężki i świszczący, często objawiało się duszenie w gardle, połączone z jakimś nieludzkim kaszlem, co nie dozwalało wątpić o naturze choroby. Był to krup, ta straszna choroba, której sama nazwa zgrozą i przerażeniem przejmuje matki.

Jak się to często zdarza, choroba nieco jakby wahająca się z początku, zaczęła nagle rozwijać się z piorunującą gwałtownością. Doktor Raymond, biegły w swej sztuce, a nadto posiadający rozum i doświadczenie starca, zastosowywał przez pierwsze dwa dni wszelkie znane w medycynie środki przeciw tej okropnej chorobie: daremne usiłowania, stan chorej pogorszał się ciągle. Wtedy to Alieta wysłała telegram do męża.

Gdy hrabia stanął przy łóżeczku córki, dziewczynka blada, z siniałemi ustami, z obrzmiałem gardłem, wstrząsała się konwulsyjnie w długim ataku zaduszania, tak podobnym do konania. Straszne to było przejście, którego nie będziemy opisywać.

Skoro atak się uspokoił, Joasia, choć jeszcze nie zupełnie przytomna, poznała jednak ojca i zwróciła na niego przerażone, błagalne spojrzenie. Serce ścisnęło mu się boleśnie. Uściskał córkę, mówił do niej z uśmiechem, poczem przeszedł z doktorem do przyległego saloniku, Alieta udała się za nimi.

— Proszę, chciej pan powiedzieć mi szczerą prawdę — rzekł hrabia.

— Powinienem ją panu powiedzieć. Chorej zagraża największe niebezpieczeństwo. Te straszne ataki będą się powtarzać coraz częściej aż do ostatecznego zaduszenia. Wyczerpałem wszelkie środki jakie nauka wskazuje, obecnie już tylko operacya chirurgiczna mogłaby może ocalić córkę pana... ale przyznaję pokornie, że podobna operacya wymaga młodszej i bieglejszej ręki.

— Czy nie mógłbym jeszcze zatelegrafować do Paryża?

— Byłoby za późno.

— A czy nie może pan wskazać mi w najbliższych miastach, w Gien lub w Nemours, któregoś ze swoich kolegów zdolnych dokonać tej operacyi.

— Nie mam odwagi przyjmować na siebie tak wielkiej odpowiedzialności... A zresztą, w odpowiedniej odległości znam tylko jednego człowieka, który, gdyby chciał, mógłby z pewnemi widokami powodzenia, podjąć się tej trudnej i niebezpiecznej operacyi... Jest to doktor Tallevant.

— Doktor Tallevant!

— Pan Tallevant! — zawołała z boleścią Alieta — ależ on nie zechce, odmówi nam jak odmawia wszystkim... wszak wie pan o tem!

— Rzeczywiście, można się tego obawiać.

— Jadę do niego natychmiast — rzekł hrabia. — Odwagi, Alieto; nie trać nadziei.

I wyszedłszy z pokoju, pobiegł prędko do stajni i sam osiodłał wierzchowca, rozkazawszy jednocześnie stangretowi, żeby natychmiast zaprzągł do powozu i czekał przed kratą ogrodu w La Saulaye.

W kilka minut potem, pan de Vandricourt pędził pod gwiaździstem niebem przez ciemny las i drogę stwardniałą od mrozu i pokrytą szronem. Gdy przybył do La Saulaye, było już około dziewiątej wieczór. Zeskoczywszy z konia, przeszedł przez niezamkniętą bramę kraty i zadzwonił do drzwi domu. Oddawszy bilet wizytowy służącemu, który drzwi otworzył, czekał odpowiedzi z uczuciem niewysłowionego niepokoju.

Służący wrócił niezwłocznie, mówiąc: — Racz pan wejść.

Hrabia prosił służącego, aby potrzymał mu konia i poszedł za pokojówką, która przybiegłszy przez ciekawość, służyła mu za przewodnika.

Wprowadziła go do wielkiego salonu i biblioteki zarazem, graniczącego z laboratoryum doktora i z tego powodu przesyconego woniami aptekarskiemi. Pierwsze spojrzenie hrabiego padło na młodą osobę, wspartą na łokciu nad książką leżącą na stole. Światło lampy padało na jej piękną twarz, lecz pomimo spokojnej i zamyślonej postawy, poważnej, czarnej, jedwabnej sukni i skromnie zapiętych warkoczy, hrabia poznał odrazu śmiałą myśliwą spotkaną w lesie. W pewnem oddaleniu od niej, przed biurem zarzuconem książkami i papierami, siedział mężczyzna około lat czterdziestu, a czarny jego surdut przy którym odbijała żywo czerwona, orderowa wstążeczka, nadawał mu powierzchowność oficera w cywilnem ubraniu. Dość grube i wydatne jego rysy, oraz ciężka i nieproporcyonalnie wielka głowa, dziwne wywierały wrażenie, ale w oczach było nadzwyczaj wiele życia, rozumu i słodyczy. Powstał na powitanie Bernarda i odkłonił mu się z uśmiechem pełnym wdzięku i uprzedzającej uprzejmości.

To przyjęcie tak różne od tego jakie znaleźć się spodziewał, dodało Bernardowi ufności.

— Doktorze — rzekł, odmawiając podanego krzesła — przychodzę do ciebie z błagalną prośbą... Córka moja jest umierająca... umierająca na krup... Doktor Raymond, który ją leczy, uważa że nie ma nadziei... i że tylko operacya mogłaby ją ocalić... Nie czas już telegrafować do Paryża... doktorze, ty jeden możesz uratować nasze dziecię.

Zaraz po pierwszych słowach hrabiego, uśmiechnięta twarz doktora spoważniała bardzo.

— Panie hrabio — rzekł — przykro mi bardzo że muszę odmówić, ale wiadomo panu, że zarzuciłem zupełnie praktykę lekarską... Czyniąc zadość prośbie pana, musiałbym niezwłocznie opuścić te strony, gdyż nie miałbym jednego dnia spokoju i byłbym zniewolony zaniechać moich naukowych prac i doświadczeń...

— Doktorze — rzekł Bernard — powszechnie mówią, że jesteś ludzkim i miłosiernym... a zniewalasz mnie zwiastować matce wyrok śmierci jedynego dziecka.

I otarł dwie łzy, które spadły mu z oczu i potoczyły się po zbladłej twarzy.

Doktor Tallewant chwilkę poważnie popatrzył na niego, poczem nagle zwrócił się do młodej osoby, która ciekawie ale spokojnie przyglądała się tej scenie i rzekł do niej:

— Sabino, wiesz o co chodzi, przygotuj wszelkie niezbędne narzędzia i przyrządy... Pojedziesz ze mną... Tylko śpiesz się, moje dziecko.

Panna Sabina wstała i wyszła z Salonu.

Hrabia de Vandricourt pochwycił rękę doktora Tallevant i milcząc uścisnął ją konwulsyjnie.

— Hrabio — rzekł doktor — nie mam siły oprzeć się twemu wezwaniu... ale muszę uprzedzić go, że jest to operacya nader niebezpieczna, a nadto, nawet w razie udania się, może jeszcze zgubne pociągnąć następsta... Tylko więc w ostateczności można uciekać się do niej... Zresztą zobaczymy czy rzeczywiście jest tu potrzebną... Czy ma pan z sobą powóz?

— Tak, doktorze.

— A teraz jeszcze nadmienić muszę, że potrzebuję mieć przynajmniej trzech pomocników... Jednym będzie siostrzenica moja Sabina... drugim może być doktor Raymond... ale trzecim...

— Ja będę, doktorze.

— Pan!... ojciec!... niepodobna... czy nie ma pan jakiego zaufanego służącego... człowieka pewnego i nie lękliwego?

— Przejeżdżając zawezwę jednego z moich leśniczych.

— Dobrze — odrzekł doktor.

Panna Tallevant, zawsze spokojna i poważna, w tejże chwili weszła do pokoju lekkim i cichym krokiem. W jednej ręce niosła wielkie safianowe pudełko, w drugiej worek z gumowego płótna; na ramieniu przewiesiła dwa grube płócienne fartuchy.

Doktor prędko otworzył pudełko i szybkim rzutem oka przejrzał połyskujące, stalowe narzędzia w niem rozmieszczone; następnie roztworzył worek, w którym znajdowało się dużo niewielkich kawałków gąbki, woskowane nici i inne przedmioty potrzebne przy operacyach chirurgicznych.

— Dobrze, jest wszystko, jedźmy!

Włożył prędko paltot, panna Sabina zarzuciła na siebie okrycie z kapiszonem i wsiedli do powozu; pan de Vandricourt galopem popędził, aby ich wyprzedzić.

W przejeździe przywołał leśniczego Lebuteux, którego domek stał w pobliżu pałacu; to też przybył tam jeszcze przed przyjazdem doktora Tallevant i panny Sabiny.

Posłyszawszy turkot powozu, Alieta wybiegła naprzeciw doktora i wprowadziła go do pokoju

Joasi. Najpierw zadał kilka szybkich pytań doktorowi Raymond, następnie nachylił się nad chorą, wziął ją za rękę i długo się w nią wpatrywał.

— Czas jeszcze — rzekł półgłosem, a zwracając się do Bernarda i Aliety, dodał: — Kochani państwo, proszę was usilnie, chciejcie pozostać w tym pokoju. Przeniesiemy chorą do przyległego saloniku.. Widziałem w nim kandelabry i żyrandol, trzeba zapalić to wszystko i przynieść jeszcze dwie lub trzy lampy.. Zdjąć dywan i na środku postawić stół.

Pan Tallevant chodził z pokoju do pokoju, wydając jasne i stanowcze rozkazy, i w niespełna pół godziny po jego przybyciu, biedna Joasia, owinięta w kołdrę, leżała na stole w saloniku oświetlonym jak na bal. Ojciec stał w otwartych drzwiach, matka uklęknąwszy przy próżnem łóżeczku, modliła się gorąco, wsparłszy czoło na ręku.

Dziewczynka, na wpół zaduszona, zdawała się nie wiedzieć co się z nią dzieje. Doktor Raymond silnie trzymał jej głowę; przy drugim rogu stołu, stary leśniczy przytrzymywał nogi. Z prawej strony, tuż przy głowie dziecka, stała panna Sabina, z lewej doktor Tallevant, mający pod ręką potrzebne narzędzia chirurgiczne. Stara bona Wiktorya; której przytomność i zimna krew zwróciła uwagę doktora, podczas dokonywanych przygotowań, trzymała świecę.

Wiadomo, że operacya otwierania żyły powietrznej, jeden z istnych cudów tegoczesnej chirurgii, ma za cel, w pewnych wypadkach krupu, nie dopuścić natychmiastowego zaduszenia, przez ułatwienie choremu sztucznego oddychania. Nie będziemy jej opisywać, ale łatwo pojąć jak gruntowną naukę, wprawną i zręczną rękę, pewność siebie i moc duszy posiadać musi chirurg podejmujący się tak trudnego zadania.

Pan de Vandricourt, nie umiejący, jak żona jego, szukać siły i pociechy w modlitwie, doznawał w tej strasznej chwili gwałtownych wstrząśnień w całej swojej istocie. Nie przekraczając zupełnie zakazu doktora Tallevant, nie wszedł do pokoju do którego przeniesiono Joasię, uważał przecież, że obowiązek ojca nakazuje mu nie spuszczać oczu z córki w tych strasznych chwilach, stanowiących o jej życiu lub śmierci. Stał we drzwiach nieruchomy i blady jak trup, patrząc z rodzajem osłupienia, jakby dręczony jakimś snem okropnym, na ten straszny, przerażający dramat, w którym dziecko jego, skrępowane i przytrzymywane przez nielitościwe ręce, zdawało się być skazane na najokropniejsze męczarnie. Pomimo niewysłowionego pomieszania, czuł i widział każdy najdrobniejszy szczegół, słyszał wyraźnie każde słowo zamienione między doktorem Tallevant a siostrzenicą, służącą mu za głównego pomocnika. Najczęściej tylko skinieniem lub ruchem głowy dawał jej polecenia, ale niejednokrotnie spełniała co do niej należało i tych niemych nawet nie czekając wskazówek. Śledziła bacznem okiem krwawe działanie lancetu, a zręczna, delikatna jej ręka, pomagając operatorowi, podawała mu już-to gąbki, już-to nici lub przyrządy do rozsuwania rany. Piękna ta istota, pełna wdzięku i niezachwianego spokoju, zdawała się spełniać zbroczonemi krwią rękami, niepojęte obrządki jakiejś dzikiej religii.

Gdy już zrobione było głębokie nacięcie, panna Sabina podała opiekunowi sondę, którą zapuścił w otwór arteryi z niezrównaną biegłością i pewnością ręki. W tejże chwili rozległ się w pokoju pewien szmer, podobny do głośnego świstu. Sabina zawiązała prędko wstążki, przytwierdzające sondę i lekką chusteczką owinęła szyję chorej. Poczem doktor wziął prędko dziewczynkę na ręce i przeszedłszy salon i pokój, położył ją w łóżeczku.

Niespokojni, niepewni, jakby nieprzytomni, Bernard i Alieta przysunęli się do łóżka i zaledwie mogli własnym uwierzyć oczom. Twarz Joasi nie miała już boleśnego, śmiertelną trwogą przejmującego wyrazu, można było czytać z niej głęboką ulgę i uspokojenie. Oboje zwrócili się prędko ku doktorowi Tallevaut; on patrzył na nich uśmiechnięty:

— Udało się — rzekł.

Ujęli go za ręce; próbowali przemówić, nie mogli. Serca ich przepełnione były rozsadzającem je uczuciem, oboje głośnem zanieśli się łkaniem.

Po tak strasznem przejściu, doktor Tallevant chciał zostawić rodzicom Joasi kilka godzin spokoju i niezakłóconej radości. Noc przepędził w pałacu. Nazajutrz więc dopiero objawił im, że szczęśliwie dokonana operacya nie zupełnie jeszcze usuwa chorobę, odjęła jej tylko najgroźniejsze niebezpieczeństwo, ale natomiast mogłaby także spowodować nader ważne następstwa. Należy więc czawać najtroskliwiej i umiejętnie pielęgnować chorą, w czem zresztą można się najzupełniej spuścić na szanownego jego kolegę, doktora Raymond, który zechce uprzedzić go w razie jakichś powikłanych symptomatów.

Gdy doktor Tallevant kończył udzielać państwu de Vandricourt tych niepokojących poleceń, wszedł służący zawiadamiając go, że powóz zajechał. Była zaledwie ósma godzina rano.

— Jakto! już pan odjeżdża, dobry, kochany doktorze?... nie chcesz nawet zostać z nami na śniadaniu? — zawołała Alieta.

— Wiadomo, łaskawej pani, że jestem człowiek dziki i przekroczyłem już bardzo postanowienie i zwyczaje moje, przyjeżdżając do państwa... Otóż chciej pani teraz pozwolić mi wrócić do poważnych i ważnych prac moich.

Alieta rozpaczliwie załamała ręce, a twarzyczka jej wyrażała tak głęboką boleść, że doktor Taillevant uczuł litość dla niej.

— No! no! — rzekł — należy pani do tych osób, którym trudno czegoś odmówić, czegoż pani żąda?

— Chciałabym mieć pana przez dni kilka, przy mojej jakby zmartwychwstałej córce.

— Tam do licha!... Ale porozumiejmy się; gdybym też zostawił pani obecną tu siostrzenicę moją Sabinę... nazywam ją siostrzenicą, choć jest tylko moją kuzynką... zaręczam pani, iż jeśli ona zostanie, to jakbym ja sam został... jest to co najmniej wzorowa infirmerka... Jeśliby objawił się jakiś niepokojący symptomat, da mi znać natychmiast... A zresztą przyrzekam, pani, codziennie wieczorem odwiedzać jej córeczkę, aż do zupełnego wyzdrowienia... Czy zgoda?

Alieta zwróciła się nieśmiało ku pannie Tallevant, która gotowa do odjazdu i udrapowana w fałdziste swoje okrycie, ze zwykłym sobie spokojem słuchała tej rozmowy.

— Byłoby to uwieńczeniem nieocenionej dobroci i poświęcenia pani — rzekła błagalnie.

— Najchętniej — odpowiedziała panna Sabina — jeżli tylko pani sobie życzy, a wuj zezwala.

— Ah! jakże wdzięczna pani jestem! — zawołała Alieta, przyciskając do serca obie ręce Sabiny.

Doktor odbył jeszcze na boku krótką naradę ze swoją siostrzenicą i wychowanką, poczem pożegnał się z państwem de Vandricourt.

Odprowadzając pana Tallevant do powozu, Bernard rzekł z niewysłowionem wzruszeniem:

— Brak mi słów do wyrażenia panu mojej wdzięczności!

— Nie myśl pan o tem; i pan i pani hrabina należycie do rzędu tych ludzi, którym miło jest oddać przysługę. Do widzenia wieczorem!

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

RYCERZ MORA.

(Dalszy ciąg.)

IX.

Krzepice, był to zameczek dość silny, leżący wśród błot i bagnisk, jakie tworzyła rzeczka, Liczwartą zwana. Miał on dwie baszty, na jednej z których w chwili, gdy dojeżdżał Bartek z Jagusią, chwiała się wielka szwedzka chorągiew i po murze nad bramą wjazdową przechadzał się żołnierz z rusznicą na ramieniu. Na rusznicy tej, krwawo zachodzące słońce zapalało błyskawiczne, oślepiające blaski i sam żołnierz w swym wielkim, szerokim kapeluszu z piórami, rysował się czarno i wyraziście na tle purpurowego zachodu. Kiedy Bartek z Jagusią wjechali na groblę, prowadzącą do zamku, żołnierz przestał chodzić po murze, przystanął i przypatrywać się począł jadącym, a potem krzyknął donośnie:

— Werda?! — i podniósł rusznicę do oka, jakby chciał strzelić.

— Co on gada, ta psia wiara? — spytał Bartek, zatrzymując konia.

— Czy ja wiem! — szepnęła dziewczyna.

— Hej! — krzyknął Bartek — jam jest poseł i jadę do zamku do komendanta.

Żołnierz wołał coś w swym zamorskim języku, ale rusznicy od oka nie odejmował.

— Hm! co tu czynić? — kręcił się Bartek — jeżeli się ruszę, to ten poganin gotów strzelić! Boruta mi prawił, że poseł jest świętym nawet dla najdzikszych narodów. Piękna mi świętość, kiedy cię jak psa ubić mogą. Bodajto siarczyste pioruny!... Cóż ja temu psu szwedzkiemu powiem, kiedy on po ludzku nie rozumie?

— Pokażcie mu, panie Bartku, kartelusz od Horna. Wyjmijcie szablę i zatknijcie na wierzch ten kartelusz, żeby lepiej obaczył.

Ucieszony tym pomysłem Jagusi Bartek, co żywo dobył kartelusza, nadział go na ostrze szabli i podniósł w górę. W tejże chwili na murze krzepickiego zamku ukazał się jakiś szlachcic w kołpaku i kożuszku i przyłożywszy ręce do ust, jak trąbkę, krzyknął:

— Czego waść chcesz i coś zacz?

— Jam jest Bartek Koszarski z Wąsosza, herbu Kosy...

— No, panie Bartku Koszarski, a czegoż ty chcesz?

— Poseł jestem.

— Od kogo?

— Od imci pana Żwana, kapitana wolontaryuszów Rzeczypospolitej... Ale mój mości panie, puśćno mnie choć bliżej pod zamek, boć przecie gęby drzéć nie będę... w gardzielu mi już zaschło...

Na murach pokazało się więcej Szwedów i szlachty polskiej i patrzali na Bartka. Tedy on pierwszy szlachcic rzekł coś do Szweda, wciąż jak słup stojącego przy gębie z rusznicą i ten przecie ją spuścił. Odetchnął Bartek, bo mu jakoś ckliwo było patrzéć na ową rusznicę, wymierzoną do niego, a już też szlachcic wołał z murów:

— Chodź jeno tu, panie pośle, bliżej.

Ruszył tedy Bartek a za nim Jagusia stępo ku zamkowi, wciąż trzymając do góry kartelusz, zatknięty na ostrzu szabli. Kiedy się zbliżyli tak, że można się było swobodnie rozmawiać, szlachcic ów z murów zawołał:

— A teraz stój!

Bartek stanął.

— Więc od kogo to waść jesteś posłem?

— Ano... nie gadałem to już raz waszmości, czegoż mam powtarzać?

— Powtórz jeno, panie bracie, powtórz!

— A jak nie powtórzę?

— Głupi szlachcic, jak Boga kocham, głupi! — zawołał ów z murów. — Nie powtórzy! A nie chcesz powtarzać, to pal cię dyabli i ruszaj ztąd precz, bo tu kule będą zaraz koło łba latały.

— A ja nie pojadę, bo oto ten kartelusz, który tu trzymam, to ordynans jest od imcipana Horna do komendanta tego zamku. Gdzież tedy jest ten komendant? bo ja jeno z komendantem mam gadać a nie z jego pachołkami.

— Bodajeś dyabła zjadł! — huknął drugi jakiś wąsaty szlachcic — nie znasz się nic na polityce. Gdzieżeś ty widział pachołków między szlachtą polską?

— Ano ciebie widzę pierwszego. Ty sam zjesz sto dyabłów, psi synu... — oburknął się Bartek.

— Ejże nie ujadaj, bo cię od batogów twoja poselska skóra nie zasłoni!

Bartek rzucił się na koniu jak szalony i potrząsając w ostatniej już pasyi pięścią krzyczał:

— Czekajno! chociem ja poseł, to jak się jeno do zamku dostanę, to ci tak nabiję pysków, że ruski miesiąc mnie popamiętasz, poganinie jakiś!

Szlachcic ów także już w pasyi sięgnął po pistolet za pas, ale go pierwszy wstrzymał i coś mu gadał długo. Tymczasem też Jagusia uspakajała Bartka, głaszcząc go po twarzy białą rączką. Bartek się rzucał i odgrażał:

— Nie daruję mu, nie daruję! Niech mnie tu zaraz piorun trzaśnie, a ja mu nie daruję.

Uspokoił się przecież, ile, że ów pierwszy szlachcic w kołpaku wołał.

— Zaraz bramę otworzą i prosimy do zamku pana posła.

Jakoż wkrótce rozwarły się ciężkie, żelazem i gwoździami nabijane wierzeje i Bartek z Jagusią wjechali pod ciemne sklepienie baszty. Tu kazano im zsiąść z koni i ruszać do komendanta na górę, po schodach kręconych, ciemnych i ciasnych.

W komnacie maleńkiej, sklepionej mocno, o dwóch jeno okienkach, wpuszczonych w gruby mur, wązkich i kratą żelazną osłonionych, komnacie ciemnej i słabo oświetlonej przez jedną woskową świecę, stał w krótkim karmazynowym kontuszu, w wysokich szwedzkich butach, ten sam szlachcic, który z Bartkiem rozmawiał z murów.

— Jam jest komendant tego zamku — mówił ów szlachcic — proszę waszmość-pana o ordynans generał-lejtnanta Horna. A przedewszystkiem powiedz mi waść, gdzie jest generał Horn i jakim to się dzieje sposobem, że waszmościa, całkiem nam nieznanego, uczynił swym posłem.

— Mości panie, jam cale nie jest posłem owego generała Horna, bo ja tam od Szwedów nie posłuję, jeno od imci pana Żwana, jakem to już raz powiedział...

— A mówiłeś waść, że masz ordynans do mnie od generała Horna.

— A mam!

— Dawajże go! I gdzież jest generał Horn? w Kłobucku!

— Nie, w niewoli.

— W niewoli!... — porwał się szlachcic — ej, co ty mi tu gadasz, do stu dyabłów!

— Nie wierzysz? Ano, to sobie przeczytaj ordynans! — odrzekł spokojnie Bartek i widząc, jak nagle ów komendant przeczytawszy jeno parę wierszy, posmutniał i nos na kwintę spuścił, począł się głośno śmiać:

— Ha! ha! ha! — widzisz ty, mości komendancie szwedzki, a w skórę szlachcica polskiego przybrany, widzisz, żem prawdę gadał. Ha! ha! ha!

— Kasztelankę oddać! — prawił tymczasem komendant do siebie — zamienić ją za generała. Jak pragnę zbawienia duszy, nic nie rozumiem.

— A cóż waść masz rozumiéć? Oto zabierzesz kasztelankę i ruszysz z nią w dziesięć jeno koni, na pół drogi ztąd do leśnictwa u boru i tam będziesz czekał. Oto wszystko.

— Ale powiedzże mi, panie bracie, jakże to było, żeście onego Horna wzięli do niewoli? Któż to jest ten Żwan? jak żyję, o nim nie słyszałem.

— Ale zato teraz waść usłyszysz. Co tu gadać, jak się stało. Napadliśmy na Szwedów dziś rano i wycięliśmy do nogi. Oto wszystko.

— Patrzajże!—zamyślił się szlachcic i po chwili zbliżając się do Bartka, dodał: — Ale proszę ja waści, jakże to można było tak porwać się na taką potencyę, jak jest jego mość król szwedzki!

— Iiii — skrzywił się Bartek — co mi za potencya! My to tałałajstwo wygnamy z kretesem, już ja waści powiadam. I jabym już dawno był to uczynił, bo mi obrzydło to szwedzkie paskudztwo, ale matusia nie dali. Ale teraz jestem wolny i będę bił Szweda, o! będę bił, że jeno drzazgi będą leciały. Prawda Ja... panie bracie! — poprawił się, zwracając się do Jagusi.

Ta, zarumieniona, kiwnęła głową i oczami dała znak Bartkowi, by był ostrożniejszy. Szczęściem komendant był wielce zalterowany tem, o czem się dowiedział i nie zważając na gadanie Bartka, łaził po ciasnej komnatce od końca do końca i patrzał nie patrząc na purpurowe niebo zachodu.

— No — rzekł nakoniec komendant — noc za pasem i dziś nie ma już co myśléć o wymianie jeńców. Przenocujesz waść u nas w zamku, a jutro świtaniem wyruszymy.

— Ale to być nie może! — ozwał się Bartek.

— Jakto, być nie może?

— Bo jeśli dziś nie nastąpi wymiana, to jutro Horn będzie dyndał na gałęzi! — zaśmiał się Bartek.

Komendant zaczerwienił się cały jak burak, a oczy jego iskry ciskały:

— Toście wy tacy psie syny! Czekajcie, to ja was tu wprzódy na baszcie obydwóch obwieszę i zaraz nocą ruszę na wasz obóz i mieczem odbiorę Horna! — wołał w gniewie. — Zbóje widzę jesteście i ja tu z wami jak ze zbójami czynić będę.

— A nie czyń tego, mości panie! — rzecze Bartek trochę przestraszony — jam jest poseł i dyabeł Łęczycki mi gadał i też ja wiem, że to jest prawda, iż osoba posła jest świętą.

— Żeby tobie sam Lucyper nawet gadał, to ja ciebie hultaju obwieszę. Ja ci pokażę, czyś ty święty. A psie syny, poganie, łajdaki, dam ja wam!

— Ejże, do stu dyabłów! — krzyknie Bartek, dobywając szabli — nim ty mnie obwiesisz, to ja tobie łeb na pół rozetnę!...

Komendant uskoczył w bok, a był bez szabli i patrzał strasznemi oczami na Bartka, który leciał do niego z gołym brzeszczotem w garści. Szczęściem Jagusia uwiesiła mu się u nóg i nie puszczała go, błagając:

— Bartuś! Bartuś! na rany Bozkie, daj pokój, Bartuś, jeżeli mnie kochasz daj pokój!

I molestując tak swym srebrnym, pieszczonym głosikiem, trzymała się wszystkiemi siłami nóg Bartka. Ten szamotał się, rzucał, klął okropnie:

— Puść mnie, Jaguś, do stu tysięcy rogatych dyabłów! Puść mnie, bo cię kopnę. Kopnę cię, jak Boga kocham, a tego zaprzańca, zdrajcę rozsiekam!

I szarpiąc się a wlokąc dziewczynę za sobą, zbliżył się tak do wybladłego ze strachu komendanta, że go już mógł dosięgnąć szablą:

— Stój! — ten zawołał — com ci winien! Za co mnie chcesz zabić bezbronnego? Uczynię wszystko co chcesz?

— Uczynisz?

— Uczynię.

— Nie obwiesisz mnie?

— Nie obwieszę.

— Daj na to słowo szlacheckie.

— Daję słowo szlacheckie.

— Jaguś, puść mnie. Już mu nic nie zrobię. Pal go dyabeł!

Jaguś wstała i załamując rączki, szła do okna, zawodząc żałośnie:

— A mój Boże, mój Boże, co się to dzieje!

Tymczasem komendant oprzytomniawszy, siadł sobie na zydlu, obtarł obfity pot z czoła i rzekł, patrząc na Jagusię:

— A cóżto? białogłowa?

Bartek dopiero teraz spostrzegł się, że zdradził płeć swej bogdanki. Zaczerwienił się jak burak i rzekł:

— Ano tak... mój mości panie... co będę ukrywał przed tobą. Białogłowa to jest. Jaguś! Musiałeś waść słyszéć o Jagusi z Wąsosza?

— Nie, nic nie słyszałem!

— Nie słyszałeś? Ano prawda, zkądżebyś miał słyszéć? Nie tutejszy jesteś?

— Nie, nie tutejszy.

— A zkądże ty jesteś?

— Z Podlasia...

— Ho! ho! ho!... to to pono daleko?...

— A daleko!

— I jakże się ty zowiesz?

— Kacper Szaniawski.

— Aha! i komendantem jesteś tego zamku?

— Tak! I kiedy Horn wyszedł do Kłobucka, to mnie zostawił komendę.

— No widzisz... tu nie ma co gadać po próżnicy. Zdrajca ty jesteś, kiedyś przystał do Szweda, ale co mi tam nos wściubiać w cudze sprawy. Otóż ja tobie powiem. Ty daj mnie i Jagusi co jeść i pić, koniom też naszym nakaż dać owsa i niech

je napoją, rozkulbaczą i wytrą grzbiety słomą. Jak się najemy, to pojedziemy...

— Jakże to, po nocy! I z kasztelanką i z tą oto ichmościanką?

— Jeno ty sobie, gałganie jakiś, Jagusią gęby nie wycieraj! Widzisz go, ichmościanka! — wrzasnął Bartek.

Szlachcic zerwał się na równe nogi i wzrok jego znów był tak straszny, jak wtedy, gdy groził Bartkowi obwieszeniem. Patrzał, patrzał na Bartka, w końcu rzekł:

— Tu nie ma co, musimy się bić!

— Chcesz się bić ze mną? A dobrze!... obetnę ci uszy!

— Żebym ja ci jeno łba nie uciął, poganinie jakiś! — wrzasnął strasznym głosem szlachcic, już w ostatniej widno pasyi. Zzieleniał, a wargi mu się trzęsły jak w febrze.

Ale Jaguś znowu skoczyła od okna i stając między obydwoma, dalejże molestować i rączki śliczne składać i oczkami zerkać:

— Bić się chcecie? a ja nie pozwolę! Bartuś! jeżeli mnie choć troszeczkę miłujesz, to bić się nie będziesz. Mości panie, miejcie kompasyę. Gdzież tu można się bić?... Tam w obozie gotowi Horna obwiesić. My chętnie na noc w zamku zostaniemy. Wcale nie potrzeba, żebyśmy się po nocy po lasach tłukli. Jeszcze dziki zwierz nas gdzie pożre. Słyszę wilcy się tak włóczą, że strach. Coby pan Zwan powiedział na to, gdyby się dowiedział, że pannie kasztelance groziło niebezpieczeństwo. Na wszystko jest rada, tylko spokojnie, mój Bartuś. No, pocałuj mnie i nie gniewaj się, mój Barteczku serdeczny. Jakiś ty dobry, jaki piękny, jak ja cię miłuję.

I rzuciła się Bartkowi na szyję i pocałunkami go okrywała i słodkie, miodowe słówka do ucha szeptała. Bartek całkiem zmiękł, jak wosk przed ogniem i mruczał rozczulony:

— No, no dobrze, Jaguś, dobrze. Już ja się bić nie będę, przeciem nie bisurman, bym krwi szlacheckiej pragnął. Moja Jaguś droga, już bić się nie będę, ale widzisz, ten szlachcic chce mnie zjeść...

Więc Jaguś opuściła Bartka i odwracając się do Szaniawskiego i dalejże go molestować.

— A proszę pana komendanta dać pokój. Bartek to jeno taki gorączka, ale on ma dobre serce. Powiadam, my na noc tu zostaniemy i jutro świtaniem pojedziemy. Ktoby tam po nocy się włóczył po borach! Jeno to tak trzeba zrobić. Waszmość wyślesz umyślnego do obozu z doniesieniem, że jutro rankiem będziesz czekał z kasztelanką na górce, przy rozstajnych drogach... Wszak dobrze tak będzie? — obróciła się do Bartka.

— A dobrze, co nie ma być dobrze. Już jak ty co wykalkulujesz Jaguś, to musi być dobrze. Ty masz śliczny rozumek dzierlatko...

I śmiał się wesoło, głośno, rubasznie. Szaniawski, założywszy ręce na tył, chodził bokami nachmurzony i nic nie gadał. Ale Bartek już był teraz po pocałunkach dziewczyny, taki, że go do rany przyłożyć można było. Prawił więc do komendanta:

— Prawda, Szaniawski, że ona ma śliczny rozumek? A ja nie wiem, dlaczego matusia nie chcą mnie z nią ożenić. O! żebyś ty wiedział, panie bracie, jaka matusia jest sroga, to byś się nad nami użalił. Kiedy nas raz zdybała, jakem Jagusię pocałował w lamusie...

— Co też to gada pan Bartek! — przerwała mu dziewczyna zarumieniona i z kwaśną minką odwróciła się i poszła do okna, a Szaniawski przystanął i rzekł ponuro:

— Już ty tam gadaj co chcesz, a bić się ze mną musisz. Gałganem mnie nazwałeś i ja ci tego tak płazem puścić nie mogę. Bić się ze mną musisz!

— A i owszem! Ja do bitki zawżdy gotów. Bijmy się! — wołał Bartek.

— Nie teraz, tyś poseł i o Horna mi idzie. Ale później, już ja ciebie najdę, choćbyś pod ziemię się schował.

— Nie schowam się ja przed tobą, nie! Nie schowam się przed nikim i nie boję ja się ciebie. Pi! pi! jaki mi rycerz, Podlasiak! torba kaszy, torba mąki... znam ja was!

Szlachcic aż skoczył do góry ze złości, ale się pohamował i rzekł:

— Odpowiesz ty za to wszystko, krwawo odpowiesz! — i szedł ku wyjściu. Przy drzwiach zatrzymał się i rzekł:

— A teraz pójdę za poddaszem dla was. A jutro świtaniem w drogę...

— To dobrze — rzekła Jagusia — a teraz zaprowadźcie mnie do kasztelanki.

— A czy waćpanna jej krewniaczka?

— Ej! nie... a pójdę do kasztelanki i u niej zostanę... Proszę mnie zaprowadzić.

Szaniawski pomyślał przez chwilę i rzekł:

— Niech i tak będzie, dobrze. Proszę waćpanny.

Nastąpiło pożegnanie z Bartkiem. Jaguś zaklęła go jeszcze raz na wszystkie świętości, by był spokojny i zapowiedziała mu, że jeżeli jeszcze jedną zrobi awanturę, to ona jak jest poleci do Wąsosza, choćby ją tam zabić miano, albo do klasztoru panien Brygidek do Częstochowy.

Bartęk przysięgał, że będzie cichy jako baranek.

Szaniawski, zniecierpliwiony tem zadługiem nieco pożegnaniem, rzekł:

— A kiedyż tam skończycie?

— Już idę! — mówiła Jaguś i miała się ku drzwiom.

— Jeść i pić waszmości tu przyniosą — ozwał się naostatku Szaniawski — jeno ja ci służyć nie będę, bo ja z mymi śmiertelnymi wrogami chleba nie łamię i soli nie kosztuję. Czołem!

— Czołem! — odrzekł Bartek i za chwilę został sam. Patrzał, patrzał długo za nimi we drzwi, potem się przeszedł po komnacie, spojrzał w okno czerwone od czerwonego zachodu i ziewając głośno zawołał:

— Tom ci im zalał sadła za skórę! Ale niech znają zdrajcy Bartka Koszarskiego!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MISZKA MUNKACZY
I JEGO OBRAZY.

Miszka a raczej Michał Munkaczy, twórca obrazu *Chrystus przed Piłatem*, od samego urodzenia ciężkie bardzo przechodził koleje. Z chwilą przyjścia na świat stracił matkę i chował się pod opieką zupełnie obcych ludzi, ojciec bowiem zagorzały patryota, przyjmował czynny udział w ruchach, mających na celu wyswobodzenie Węgier z pod zależności Austryi.

Na domiar złego w roku 1848 osadzony w więzieniu, zapadł na ciężką chorobę i zmarł, pozostawiając pięciu synów i jedną córkę, sierotami bez żadnych środków utrzymania. Małoletnie to biedactwo, rozebrali pomiędzy siebie krewni, a jedna z zamożniejszych ciotek Miszkę i jego siostrę przyjęła za własne dzieci.

Stała się też rzeczywiście bardzo dobrą dla nich matką, ale pewnej nocy banda zbójców, korzystając z trwającego jeszcze w kraju zamieszania, napadła na dom zacnej tej niewiasty, zamordowała ją i wszystko zabrała co tylko unieść się dało.

Osierocony po raz drugi Miszko, znalazł przytułek u jednego ze swych wujów, J. Reck, adwokata, człowieka zubożałego, bo jako skompromitowanemu politycznie, skonfiskowano cały majątek.

— Jakoś, moje dziecko, nie zginiemy — rzekł do biednego sieroty — i damy sobie radę, ale musisz się nauczyć jakiego rzemiosła.

Oddany na naukę do stolarza, w dzień pracując, wieczorami czytając, po długiem, bardzo ciężkiem terminowaniu, został czeladnikiem i z tłomoczkiem na plecach a świadectwem cechowem w kieszeni, udał się na praktykę do Arad, gdzie mu ofiarowano dwa i pół guldena na tydzień, co miesięcznie uczyniło około sześciu rubli.

Z tak malutkiej sumki, trzeba jednak było utrzymać się, a jakie to było utrzymanie, łatwo domyśléć się. O piątej już musiał stawać przy warsztacie, dzień cały przy nim ciężko pracować i to w brudnej izbie, zaduszonej, wśród ordynarnych towarzyszy. Ale młody człowiek wszystkiem tem nie zrażał się, pracował z jedną zawsze usilnością i z przekonaniem głębokiem, że obecna jego bieda to tylko czas próby, że prędzej, później wyjdzie z tego piekła i czemś na świecie zostanie.

Ale czem? Na to nie umiał dać odpowiedzi. Przypuszczał tylko, że zapewne jako poeta zdobędzie rozgłos i mienie, o malarstwie bowiem jeszcze nie myślał a składać wierszyki poczynał. Wieczorem też, po ustaniu pracy w warsztacie, biegł do rówieśników kształcących się w kolegium i tam razem z nimi pracował, czytał, kształcił się i przy próbkach poezyi lirycznej o kwiatach i gwiazdach, mieścił rysunki techniczne.

To ciągłe odddawanie się pracy bez chwili prawie wytchnienia, nędzne żywienie się, gdyż biedak przez pół roku nie miał w ustach gorącego pokarmu, bardzo szkodliwie na zdrowie oddziałało i biedny czeladnik zapadł w ciężką chorobę. Wuj Reck już troszkę dźwignięty z niedoli, zawiadomiony o chorobie siostrzeńca, zabrał go do siebie i wtedy dopiero Miszka poczuł w sobie zapał do sztuki malarskiej i na prędce wyrysowawszy kredą swego opiekuna, z wielkiem uderzającem podobieństwem, oświadczył, że stolarstwo stanowczo porzuca a zostanie malarzem.

I poszedł znowu w świat szukać nauki i zarobku zarazem; naukę znalazł łatwo, zarobek malowaniem portretów trudniej, ale umiejąc obchodzić się byle czem, zdobywając coraz większe uznanie, przesuwając się z miejsca na miejsce, po dwuletniej takiej mozolnej wędrówce, dopchał się wreszcie do Paryża, gdzie wykonaniem obrazu, przedstawiającego *Ostatnie chwile skazanego*, stanął odrazu na wyżynie spółczesnej sztuki. Drugim obrazem jego równie rozgłośnym był przedstawiający *Zgon Mozarta*.

Wiadomo, że wielki ten kompozytor dożywszy lat 36, był tak wycieńczony, że łóżka prawie nie opuszczał. Ale i wtedy choć bliski już śmierci, komponował wspaniałe *requiem* na własny pogrzeb

jak powiadał i skoro tylko ustęp jaki wykończył, zaraz zgromadzał koło siebie przyjaciół i ci kompozycyą wykonywali.

Ostatni taki koncert improwizowany odbył się 5 Grudnia 1791 roku. Już po pierwszych taktach, Mozart rozpłakał się... partytura wypadła mu z rąk... wydał ostatnie tchnienie.

Munkaczy scenę tę tak wielce dramatyczną przeniósł na płótno. Praca ta godną jest poprzedniej a artysta pragnąc wrażenie odbierane z niego podnieść i spotęgować, znając zmysłowość ludzką i jej potęgę, powziął myśl trochę na reklamę zakrawającą.

Otóż kiedy obraz już był zupełnie wykończony, zaprosił całe grono znajomych do jego obejrzenia. Zgromadzili się wszyscy, wielcy i mali, dygnitarze, arystokraci rodu, mienia i nauki i gdy zasiedli na krzesłach gęsto w rzędach ustawionych, dały się słyszeć trzy wystrzały a za obrazem ozwało się preludyum na organach wykonane. Nagle wśród tej poważnej, przecudownie pięknej muzyki, gasną światła wielkiego żyrandola i gdy postacie z wybornie oświetlonego obrazu przedstawiające chór śpiewaków zdają się występować jak żywe a widzowie pozostają w zupełnym zmroku, za kotarą obrazową, najpierwszy chór paryzki z solistami, zaczął przy akompaniamencie organów śpiewać *requiem* Mozarta, jakby to grupa na obrazie pomieszczona wykonywała. Wrażenie było niezmierne... panie płakały a w oczach wszystkich błyszczało rozrzewnienie.

Na drugi dzień cały Paryż mówił tylko o Munkaczym i jego obrazie i nazwał go obrazem śpiewającym.

(*Dokończenie nastąpi.*)

ROZMAITOŚCI.

Laboratyryum Pasteura.

W jednym z ostatnich numerów *Journal des Débats*, p. Henryk Parville podaje opis laboratoryum słynnego uczonego, którego imię jest obecnie na ustach mieszkańców całej kuli ziemskiej niemal. Sala poczekalna, pisze pan Parville, mierzy tylko kilka metrów kwadratowych. Kto się w niej nie zmieści, pozostać musi na korytarzu. Czekający obojej płci i różnego wieku, należą do najrozmaitszych narodowości. Mieszkańcy Paryża, prowincyi, Austryi, Rumunii, Włoch, Hiszpanii, Rossyi, w narodowych strojach, bogacze i nędzarze łachmanami zaledwie okryci, robotnik w bluzie obok wykwintnego arystokraty, lekarza z pacyentami swoimi, słowem niebrak przedstawiciela żadnego stanu. Każdy mówi rodzinnym językiem, dzieci krzyczą, płaczą: istna wieża Babel. W chwili, gdy wchodziliśmy do gabinetu Pasteura, profesor uspokajał jakąś panią, Rossyankę, której dzieci zostały pokąsane i prosi ją, aby usiadła przy biurku. Jednocześnie zwraca się do jakiejś Bretonki:

— Kuracya wasza już skończona, co tu jeszcze robicie?

— Tak, prawda — odparła kobieta z zakłopotaniem — ale jak ja mam powrócić do domu?

— Aha, rozumiem, za godzinę będziecie mieli wszystko, czego wam potrzeba. Bywajcie zdrowi i piszcie do mnie.

Przynoszą szkła, w których zatrutka (*virus*) ośmiodniowa, oraz każdodzienna zebraną jest oddzielnie. Pasteur trzyma w ręku spis osób, z których każda przez dziesięć dni kolejno podlega szczepieniu i wywołuje je sam:

— Pierwsza serya, ostatnio przybyli!

Młody włoski lekarz wysuwa się naprzód zośmiu wieśniakami z okolic Bolonii. Wystraszyli się oni dopiero, gdy ujrzeli zdychające, pokąsane jednocześnie z nimi krowy. Od tego czasu upłynęło czterdzieści dni.

— Może to już zapóźno — szepcze Pasteur do tłomacza. — Ale zobaczymy.

Defilada rozpoczęła się tymi Włochami. Pr. Grancher siedzi przy stole, gdzie stoją szkła. Preparator wybrał szkło z najsłabszą zatrutką, z dnia 28 Lutego, napełnił nią strzykawkę, zawierającą zaledwie kubiczny centymetr płynu i podał instrument p. Grancher. Ten ukłuł igłą, obnażoną w pasie skórę pierwszego pacyenta i wpuścił zawartość strzykawki w tkankę komórkową. W przeciągu dwóch sekund było po wszystkiem. Oczy nasze skierowane były na pokąsanego. Brwi jego ściągnęły się zlekka, zresztą na twarzy nie malował się ani wyraz bólu, ani zadziwienia. I tak szło dalej. Po Włochach nastąpili Rossyanie i Francuzi, po pierwszej seryi druga. Zaczerpnięto z drugiego szkła, z 1-go Marca:

— Z której strony zostałeś pan wczoraj pokąsany? — zapytuje p. Grancher, pierwszego zbliżającego się.

— Z prawej — odpowiada rzeźki starzec, który pokąsany został przed tygodniem.

— To podaj pan lewą stronę!

W mgnieniu oka operacya była skończona, starzec uśmiechnął się zadowolony i odszedł. Wywoływanie nazwisk odbywa się w dalszym ciągu. Trzecia serya. Szkło 2-go Marca. Mnóstwo dzieci i krzyku. Matka rozbiera dziecko i krzyk wzmaga się jeszcze. P. Grancher posiada wiele cierpliwości i zadaje ukłócie pewną ręką. Wrzask nie ustaje jednak.

— Jużeśmy przecież skończyli — mówi Pasteur, głaszcząc po twarzy, pokąsanego malca — byłeś bardzo grzeczny.

Otwiera szufladę napełnioną miedzianą monetą, kładzie kilka sousów w drobną rączkę i mówi:

— Idź, kup sobie cukierków, jutro powrócisz, żebym ci mógł dać jeszcze więcej.

Szuflada otwierała się tak jeszcze kilka razy. Na dzisiaj robota skończona. Pasteur wywołał siedmdziesiąt osób, a d-r Grancher dokonał od godziny 11-ej minut 10 do 12 ej minut 20, siedmdziesięciu szczepień.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** **Spodziewane klęski.** Nie będziemy tu powtarzali opisów zawiei śnieżnych, które na kilka dni przerwały wszelką komunikacyę, tak kolejową jak konną. Dziś już to przebrzmiałe wieści, gdyż z niesłychanym trudem i kosztem zaspy rozkopano, a pociągi przebiegają po oczyszczonych torach regularnie.

Grozi nam jednak inna ewentualność. Oto masy topniejącego śniegu, którego grubemi warstwami cały kraj jest pokryty, mogą spowodować olbrzymie wylewy wód i sprowadzić chociaż w części przepowiednię Nostradamusa, o owym fatalnym roku 1886.

*** **Obraz Munkaczego** Chrystus przed Piłatem, ściąga tłumy osób do salonu wystawy. Po kilka tysięcy osób dziennie ogląda to dzieło, a kasa towarzystwa robi świetne interesa. Powodzenie zachęciło zarząd tej sympatycznej instytucyi do powzięcia projektu, aby wszelkie znakomitsze utwory zagranicznych malarzy sprowadzać na wystawę tutejszą.

Nie potrzebujemy dodawać, jak dodatni to wpływ wywierać będzie na wyrobienie poczucia piękna i smaku estetycznego wśród publiczności warszawskiej.

*** **Wystawa.** We Wrześniu b. r. w gmachu warszawskiego muzeum przemysłu i rolnictwa, odbędzie się wystawa, mogąca w znacznym stopniu zainteresować szanowne czytelniczki nasze. Będzie to wystawa wszelkiego rodzaju ubrań, szczególnie damskich, bielizny stołowej, dekoracyi mieszkań, mebli, oraz przyborów kuchennych.

Dziś już wiadomo, że znaczna bardzo liczba fabrykantów i rękodzielników nadeśle na tę wystawę rozmaite wyroby i że sale pierwszego i drugiego piętra muzeum będą zapełnione.

Otwarcie wystawy odbędzie się jednocześnie z uroczystem otwarciem świeżo wykończonego gmachu Muzeum na Krakowskiem Przedmieściu, obok kościoła po Bernardyńskiego.

*** **Przebudowanie kościoła św. Aleksandra** w Warszawie, które miało się rozpocząć z obecną wiosną (jeżeli ją tak nazwać można), nie przyjdzie podobno do skutku. Z powodu braku dostatecznych funduszów, zamiar przebudowania wypadnie na jakiś czas przynajmniej odłożyć.

Szkoda, gdyż nadzwyczaj ludna parafia św. Aleksandra, potrzebuje oddawna obszerniejszego kościoła.

*** **Szkoły specyalne** coraz gęściej powstają u nas, co jest wskazówką nader pomyślnego zwrotu w kierunku praktycznym.

Pod Bobrujskiem w Piotrowicach, będzie założona szkoła chmielarsko rzemieślnicza, z wykładem trzyletnim, chmielarstwa, ogrodnictwa, oraz kilku łatwiejszych rzemiosł. Obecnie dowiadujemy się znowu, że p. S. przedstawił władzom projekt szkoły owczarstwa, w której ma być wykładaną także nauka o produkcyi najlepszej i najobfitszej wełny.

W myśl oddawna powziętego projektu, szkoła taka ma być urządzoną na Wołyniu lub Podolu, w miejscowości najbardziej sprzyjającej hodowli owiec.

Owczarstwo racyonalnie prowadzone przedstawia znaczne korzyści; sama nauka tego fachu pożądanym jest nabytkiem dla rolników, którzy oby tylko rąk nie opuścili, dadzą za wygraną pszenicy, wejdą na nowe tory, stanowisk swoich nie porzucą, wywalczą przyszłość.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** **Zaburzenia w Belgii.** Hydra komunizmu, wypowiadającego wojnę wszelkim prawom bozkim i ludzkim, hardo podnosi głowę.

Przewodnicy tłumów chciwych rabunku i gwałtów, rozwijają czerwony sztandar i namiętnem przemówieniem budzą najdziksze instynkta.

Za nie własność, za nic prawo, kto ma cokolwiek jest zbrodniarzem. Z takiem hasłem na ustach, rozjątrzony tłum rzuca się na magazyny i sklepy, rabuje i niszczy.

Niedawno podobne sceny działy się w Londynie i w Manchestrze, dziś powtarzają się w Liege.

Żandsrmeryę i policyę usiłującą przywrócić porządek pobito i poraniono, a do poskromienia szalejącego tłumu musiano użyć kul i bagnetów.

A jednak... żyjemy przecież w wieku XIX, w wieku oświaty.

*** **Pogłoska** o znalezieniu skamieniałych oczu Jukasów rozeszła się szybko po zagranicznych pismach, a w ślad za niemi powtórzyły ją nasze dzienniki.

Dowiadujemy się obecnie, że W. H. Flower, profesor brytańskiego muzeum przyrodniczego, prostuje ją naukowem objaśnieniem. W liście pisanym do Times, uczony oświadcza, że to są skrystalizowane soczewki óczu pewnego gatunku cephalopodów (ryby).

Niegdyś, przed wiekami, piękne amerykanki używały ich do ozdób tualetowych, jakoto: bransolet, kolczyków i tym podobnych, o czem świadczą grobowce, w których bardzo często przy ubraniu zmarłych je znajdują.

My mamy jaszczurki, węże, żaby, w obecnym zaś sezonie zgrabne małpeczki, przedwiekowe piękności znalazły coś bardziej oryginalnego i naturalnego. Widocznie, o imitacyach nie myślano jeszcze w owym czasie, moda fałszywych brylantów i... fabryka starożytności ukazały się dopiero w dziewiętnastym wieku.

*** **Co to znaczy?** We lwowskich i krakowskich pismach narzekają, że tegoroczny wieczorek mickiewiczowski zupełnie był niepodobny do takichże uroczystości w poprzednich latach.

Program, niczem nie przypominał Mickiewicza, w deklamacyi były poezye Lenartowicza, w śpiewie czeskie pieśni, w muzyce kilka francuzkich i niemieckich kompozytorów. Gdyby nie biust poety, ustawiony na estradzie, możnaby sądzić, że to zwyczajny koncert, z udziałem amatorów.

Wrażenie jakie publiczność z wieczorka wyniosła, nie było tak przyjemne, jak w dawnych latach, ale bo też i publiczność zmieniła się także. Brakło tu ze sfer inteligentnych, wielu bardzo wielu osób: krzesła przeznaczone dla profesorów uniwersytetu oraz ich rodzin świeciły pustkami, a widzów w ogóle dużo mniej się zebrało.

*** **Nowa opera.** Maestro Verdi, który z powodu różnych nieporozumień, najnowszą swoją operę „Otello” zamierzał po raz pierwszy wystawić w innem mieście, otrzymał adres podpisany przez wszystkie wybitniejsze osobistości Medyolanu, z prośbą, żeby od zamiaru swego odstąpił.

Wręczającym adres braciom Corti, sławny muzyk odpowiedział, że podeszłe jego lata opóźniają pracę, więc też pomimo najszczerszych chęci, jakkolwiek partytura jest już gotowa, wiele miesięcy upłynie, zanim ją skończy.

Adresem towarzystwa medyolańskiego mistrz tak się uczuł wzruszonym, że przyrzekł uczynić zadość zawartemu w nim żądaniu, nie prędzej jednak, aż w 1887 roku.

Honor Medyolańczyków ocalony!

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie spacerowe z wełnianego materyału. W suknię podpiętą w draperyę wstawiony jest bryt z aksamitu w kratę. Paletocik obciśle przystający do figury, z boku zapinany, zdobi suta riusza z materyi w ząbki wyciętej. Kapelusz słomkowy ubrany wstążką i piórami.

Ubranie podróżne. Szeroki płaszczyk, z prostych brytów materyi zfałdowanych przy wykroju szyi, podszyty materyą w kratę, zdobi bluzkę fałdowaną, opasaną szarfą ze wstążki. Berecik aksamitny ubrany piórami.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani I. N. w Skwirze. Premium do Tygodnika Mód obejmujące oleodruk za granicą wykonany, przedstawiający leśną okolicę z osadą kowalską z ogniem w kuźni błyszczącym i w ożywionem odpowiednio otoczeniu, jeszcze znajduje się i za nadesłaniem kop. 30 na koszta przesyłek i opakowania z zagranicy i na miejsce, natychmiast wyprawione pocztą zostanie. Podobne premium, dla Przyjaciela Dzieci, przedstawiające Matkę w otoczeniu dziatwy jednym splotem miłości połączonej z sobą, kosztuje kop. 15. Oba te premia, stanowiące spore obrazy bardzo ładnie przedstawiające się, mogą być nabywane przez prenumeratorów zarówno Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci, jak również i cztery powieści historyczne stanowiące pierwszą seryą *Biblioteczki domowej* Przyjaciela dzieci, a kosztujące z przesyłką rs. 1 kop. 15.

Pani Tuzinowskiej w Wyszkowie. Prosimy o doniesienie do których numerów brakuje arkuszy kroju, bo inaczej powtórnej przesyłki dokonać nie można.

Maksymilianowi S. Przyjaciel z powodu niewłaściwego wyboru wyrazów zadania pomieścić nie może.

Beatryczy. Forma w wierszu bardzo dobra ale treść dość dziwna.

Pa. w Honorówce. Jaki dodatek dołączony jest do każdego numeru Tygodnika Mód, to zawsze ogłaszane jest na samym końcu ostatniej jego kolumny. Według więc tego przekonać się łatwo, czy pismo dochodzi bez uszczerbku tak jak z Warszawy wysłane zostało.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 13 wyszedł z druku i zawiera:

Lawoisier Antoni Wawrzyniec (z drzeworytem).— Strumyczek (wiersz). — Opowiadanie z przeszłości. — Chłopiec maziarza. — Widok w Karpatach (z drzeworytem).—Wieśniaczka bulgarska (z drzeworytem). — Czyny nauczające. — Kapitan Ferragus. — Z nauki. Dodatek: Pragnienie Karolci i Stasia (z drzeworytem). — Łupinka orzecha (wiersz). — Gadułka. — Grymasy (wiersz). — Mała Ziunia.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Марта 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (nowy 26).



Pl. 643.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.